TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 6. *Chicago, Ills., 6 Sierpnia, 1885 r.* Rok II.

TRZY MIESIĄCE.

ZE ZNALEZIONEGO RĘKOPISMU.

WYDAŁ

JOZEF NARZYMSKI.

(Ciąg dalszy.)

Cóż?... wszak wszystko złe już się stało... jedno widzenie nie pogorszy stanu rzeczy...

Nie!... nie!... nie!... po tysiąc razy nie!... nie powinienem jej widzieć więcej...

Dębowo 8 czerwca.

Jutro rano jadę do wód B. Zastanowiłem się... Ah! byłoby za okropnie nie widzieć jej więcej... Przecie i mnie się coś należy...

Zobaczę ją więc... zobaczę!...

A potem?...

Ha! mniejsza o to... Przedewszystkiem zobaczę ją...

Stacya kolei 9 czerwca.

Kazałem ekstrapocztom pędzić jak szalone i oto mam przed sobą dwie godziny czasu, zanim pociąg nadejdzie...

Ah! dzień dzisiejszy strasznym był dla mnie!... Dziwię się, że włosy me nie posiwiały, że serce nie pękło... Żegnałem dziś po raz ostatni matkę i siostrę, i dach rodzinny i wszystko co mnie od kolebki otaczało, pieściło, kochało...

Oh! wy, co umieracie przytomnie, na łożu wśród rodziny, wy możecie przynajmniej pożegnać się z nią tak, jak się na długą, może wieczną żegna rozłąkę... Wy... których przemoc lub prawo na szafot prowadzi, możecie także z dumą lub żalem uścisnąć drogich waszych i powiedzieć:

— Do zobaczenia... tam!...

Ale ja rozstawałem się niby na dni kilka, kilkanaście najwyżej... Jakieś pożegnanie rzewniejsze, jakieś uściski serdeczniejsze jak zwykłe, byłyby zaniepokoiły matkę i tak niespokojną i instynktem przeczuwającą coś złego.

I oto, musiałem uśmięchać się prawie, że-

gnając po raz ostatni najdroższe mi istoty...

Zamiast uklęknąć przed matką i prosić by przebaczyła, by pobłogosławiła i raz ostatni uściskała syna, którego nigdy nie zobaczy, jam, nie mogąc się zdradzić, mógł jej ręce ucałować zaledwie i poczuć na czole, jak przy zwykłem rozstaniu, pocałunek serdeczny i łzę zaledwie jedną... Iza bo mnie wyprawiała gwałtem prawie, radośnie... wesoło... utrzymując, że w B. najlepszy jest dla mnie lekarz... Czyż przeczucia nie istnieją... wszak ona mnie kocha!...

Gdybym był zbrodniarzem, mógłbym na pożegnanie uścisnąć dłoń moich sług starych, pogłaskać moje psy i konie... Odjeżdżającemu do wód nie wolno było zrobić tego... Pierwszy objaw niezwyczajnej rzewności byłby rozbił niepewny pokój matki...

Małoż jej złego wyrządzam?... Niechby więc raczej serce było pękło z tamowanego żalu, jak gdybym miał o jedną godzinę skrócić wytchnienie i spokój tej, której resztę życia żałobą okryję...

Oh! co taka komedya kosztuje!...

Potężne to jednak te związki rodzinne i to przywyknienie do gniazda... Sama myśl zobaczenia Maryi wprowadza mnie w uniesienie, a jednak... jednak wahałem się chwilami... chciałem zostać... by te kilka dni jeszcze spędzić u siebie...

Ale lepiej się stało, żem wyjechał. Będzie tu Leon i Alfred... Oni powoli przygotują matkę do strasznej wiadomości... I tak wyjechaćby trzeba... Gdyby trupa mego przynieśli niespodzianie... umarłaby od razu...

Za to objechałem konno wszystkie pola, obszedłem las cały, potem wyjechałem na wzgórek, z którego objąć można może milę w promieniu, i długo, długo patrzałem na te łany okryte zielenią, poprzerzynane żółtemi szmatami rzepaku kwitnącego, upstrzone wioskami, przerznięte małą rzeczką... i szeroko łąką kwieciem ubarwioną. Chciałem cały ten obraz wyryć niejako w mej pamięci... Któż wie!... może ostatnie wrażenia nasze zachowujemy aż po za grób...

Przejeżdżając koło cmentarza, puściłem konia do domu, a sam wstąpiłem podumać raz ostatni na grobie ojca!... Pół godziny może spędzone na stopniach marmurowych tego pomnika, w cieniu jodeł i brzóz płaczących, tak młodych i świeżych, było dobrodziejstwem dla mnie...

Przed zamkniętemi oczyma memi przesunęła się cała młodość moja i wszystkie rozmowy z ojcem...

Zdawało mi się, że on żyje jeszcze... że stoi przy mnie, a ja mu opowiadam całą prawdę... i przyznaję się, że mi żal życia...

— To trudno — moje dziecię — honor przedewszystkiem...

Tak!... to był głos jego!... gdyby żył, byłby powiedział to samo... Chciałem go się zapytać o tajemnicę śmierci... ale nie śmiałem... Byłaż to igraszka wyobraźni, czy widzenie ducha mającego ulecieć?...

Wracając przez wieś spotykałem co chwila wracających z pola chłopów.

— Wy przynajmniej skorzystacie na mojej śmierci — pomyślałem patrząc na walące się chałupy.

Prosiłem bowiem Maryi w moim testamencie, żeby przedewszystkiem kazała odbudować chaty w Dębowie i innych wioskach moich... Zdaje mi się, że czyste i porządne mieszkanie jest jednem z największych dobrodziejstw, jakie ludowi wyrządzić można...

I widziałem wyobraźnią Dębowa odbudowane... na miejscu drewnianych domów, domki białe, czyste, a w koło nich twarze zdrowe, wesołe, czerwone, zadowolone... ciesząc się życiem... ah! ja pojmowałem dziś jaką rozkoszą jest życie... I to wszystko stanie się dla tego tylko, że ja zniknę ze świata... i połowa tego, co mnie ledwo dziś wystarcza... mnie samemu... uszczęśliwi kilkadziesiąt rodzin...

A więc dobrze że ginę i Wirski jest dobroczyńcą ludzkości...

To smutno, gdy się ktoś tak urządzi, że śmierć jego więcej, jak życie, dobra przynosi.... Rzeczywiście, żyłem tylko dla siebie dotąd... czyli... nie żyłem...

Oh!... teraz byłoby inaczej... Teraz od trzech miesięcy patrząc oko w oko w głąb mego grobu, wijąc się w zimnych uściskach śmierci, zrozumiałem inaczej życie... Wiem co ono warte... i jak smutno umierać nic nie zostawiając po sobie...

Zapóźno!...

A jednak... Dzwonek słychać — pociąg nadchodzi... Jutro rano będę już wśród obcych... pojutrze ją zobaczę... po pojutrze... finita la comedia!...

B. 11 czerwca.

Widziałem ją więc znowu!... Na mój widok twarz jej rozjaśniła się jak niebo, gdy trysną pierwsze promienia wychodzącego z za chmur słońca...

Przybyłem przed południem i tyle tylko czasu straciłem, ile na przebranie się było potrzeba... Nie miałem odwagi grać dalej obrzydłej komedyi... Byłem sobą... Widok jej działa na mnie w cudowny sposób... Patrząc na nią, jestem jak człowiek upojony opium... marzę cudne rzeczy... roję... mam nadzieję... wierzę w nieśmiertelność i dusz połączenie kiedyś... Napróżno niegodziwa pamięć wołała: jutro!... jutro!... Oh! jutro!... ale dziś i jutro będę ją widzieć jeszcze... A potem cóż?... Nieprawda! .. tysiąc razy nieprawda!... człowiek nie umiera całkowicie... Jutro padnie to tylko, co we mnie trawi, rusza się, co potrzebuje jeść i pić... ale to co myśli i czuje, co kocha i tęskni... to umrzeć nie może... to — z tem co zebrał na ziemi, popłynie do stóp Najwyższego... lub krążyć będzie około bratnich dusz uwięzionych tu jeszcze...

Inaczej być nie może!... Z takiej Maryi miałażby się zostać szczypta prochu tylko... Ah! w takim razie świat... życie byłoby komedyą obrzydliwą... Oh! tak!... będąc z nią... byłbym przysiągł na pamięć mego ojca, że jest dusza, że jest życie po za grobem, że są sfery jakieś, w których się dusze spotykają ze sobą!... Ale dość tego... okna moje wychodzą na ogród jakiś... księżyc w pełni... bzy i jaśminy zapachem przepełniają powietrze... opóźnione słowiki odzywają się jeszcze... Precz światło i atrament... będę marzył o niej...

Jeśli dusze kochające wracają kiedy na ziemię, to chyba w noc taką jak dzisiejsza... Może i ja...

B... 12 rano.

. . . .

Nigdy może tak smacznie nie spałem, jak dzisiaj... Ostatni raz!... W nieszczęściu mam jednak szczęście... Nie mogłem lepiej użyć resztki życia... w dzień przy niej w nocy z spokojnym o niej marzeniem i snem uroczym... Szkoda przecież czasu na sen... Razem ze słońcem wstałem i poszedłem w góry obrosłe liściastym lasem, które o kilka kroków ztąd się rozpoczynają... Po raz ostatni chciałem się upoić wiosną i pożegnać to, com tak zawsze kochał... zieloność... woń... błękit i słońce błyszczące w kroplach rosy...

Ostatni mój ranek... ostatni raz wschodzące z za gór widziałem słońce... a jednak spokojniejszy byłem jak kiedykolwiek... Wielka to prawda, że blizkie niebezpieczeństwo daleko mniej nas przeraża, jak dalekie... Obecnie ja i śmierć stoimy jak dwaj przeciwnicy na placu... oko w oko... Widzę ją już i idę spokojnie... jak każdy na mojem miejscu.

Słońca promienie już złociły wierzchołki sosen, a ja leżałem na wilgotnym wrzosie, chłonąc całą piersią orzeźwiające wyziewy i prawie bezmyślnie, jak człowiek pijany, rozkoszując się wszystkiem. Nademną szumiały lekko liście klonu, a wśród nich widać było kawałek błękitu... Wśród liści i na błękicie migała postać Maryi jakby ze mgły utkana... to znów widziałem twarz smutną i kochający wzrok matki... to Izy błyszczące oczy... Obok nich, trochę mniej wyraźnie, widziałem Alfonsa i Leona i cały szereg przyjaciół i znajomych... i Dębowo i Słomniki... Wszystko to widziałem na raz i osobno... wszystko to widziałem nie tracąc z oczu liści i kawałka nieba... Ze wszystkiemi naraz mówiłem, jakimś językiem cichym... niedosłyszalnym... Nie było słów... nie było zdań... ale rozumiałem ich doskonale i oni mnie rozumieli... Dziwnie mi było dobrze... i zupełnie straciłem poczucie rzeczywistości... Nie był to sen, bo oczy miałem otwarte... Byłoż to widmo tego, co mnie po za grobem czeka? Czy tylko cudne marzenie zawróconego świeżością powietrza mózgu?...

Jak długo trwał stan ten dziwny nie wiem... O kilkadziesiąt kroków zadźwięczał dzwonek kościelny... złudzenie znikło... Podniosłem się, siadłem, przetarłem oczy, westchnąłem... Rzeczywistość wracała... Piękna była ona... to prawda... Słońce tu i ówdzie przedzierało się przez gęstwinę, a dzwonek dźwięczał ciągle... Przypominam sobie prawdziwy stan rzeczy, ale porzucać tego miejsca mi się nie chciało... Pełen jeszcze byłem owego wrażenia błogości... Zasłoniłem oczy jakby chcąc przytrzymać niknące mary, ale rozpłynęły się bezpowrotnie... Głos dzwonka powtarzany przez każde drzewo, dźwięczał mi ciągle w uszach... Powoli zaczęło mi się zdawać, że to w Dębowie na mszę dzwonią... Kiedyś, mając lat 6 czy 7, sługiwałem do mszy, z czego byłem niesłychanie

dumny... Sygnaturka kościelna budziła mnie nieraz ze snu... Niestety!... gdzież te czasy... Wtedy szedłem w życie, dziś... Głos dzwonka był podobny, ale jakaż różnica na około mnie i we mnie!...

Ten głos ciągnął mnie jednak ku sobie i poszedłem w górę, stromą ścieżką. Wśród gęstych jodeł stała maleńka, drewniana, słomą pokryta kapliczka... Drzwi były otworzone, przed ołtarzem ksiądz mszę zaczął właśnie odprawiać. W kaplicy, w dwóch małych ławeczkach, było kobiet parę, jedna z nich klęczała bliżej ołtarza z czołem opartem o chrzcielnicę.

Raczej przeczułem niż poznałem ukochaną moją.... Przysiągłbym, że się modliła za mnie....

Cisza panowała zupełna... słychać było tylko cichy szept księdza i czasem skrzyp estrady, po której chodził... Było coś uroczystego, coś przejmującego do głębi w tym obrazie... Ten las, ta skromna kapliczka... te postacie kobiet zakwefionych i modlących się na prawdę, ta prostota i cisza podnosiły serce i myśl... Stałem przed drzwiami przejęty... wzruszony... drżący. Naraz dzwonek zabrzęczał na podniesienie i pochyliły się głowy kobiece... kolana mi się zgięły mimowolnie, a czoło oparło się o kamień chłodny i wilgotny, stojący zewnątrz a napełniony wodą święconą...

I oto cała wiara młodzieńca wróciła w tej chwili... wiara prosta, szczera, naiwna, wiara dziecięcia, zanim z pod skrzydeł matki wyleci... Gdzie się podziały zwątpienia i kwestye rozumu?... Modliłem się jak za dziecinnych lat moich, jak przy łóżku matki, powtarzając machinalnie ,,Ojcze nasz i Zdrowaś", całą duszę podnosząc w jakiejś nieokreślonej ufności czy uniesieniu do Boga...

Modliłem się za nią, za matkę... za wszystkich... błagałem o ich szczęście i spokój... z dziecinną naiwnością starałem się wytłumaczyć zamierzone samobójstwo... słowem, byłem tak jak w owej chwili, gdy mnie matka do pierwszej prowadziła komunii...

Wrażenia lat dziecinnych zawsze są potężne... Przy pierwszej sposobności wracają one z całą siłą...

Oparty tak, zatopiony w sobie, nie spostrzegłem, jak msza się skończyła, jak wyszli wszyscy... Gdym głowę podniósł i obejrzał się, pusto było w kaplicy... i w około...

W pierwszej chwili zły byłem na siebie... mogłem ją widzieć, odprowadzić... pomówić z nią sam na sam... Ranek był taki cudny!... Ale to trwało niedługo... Lepiej się stało!... W usposobieniu, w jakiem jestem, któż wie czybym panować nad sobą potrafił?...

A może mnie nie poznała?... Wolałbym... Ta moja modlitwa na świeżem powietrzu miała minę tartuferyi... Wszak Oskar starając się o bogatą pannę, klęczał po całych godzinach i bił się w piersi i wzdychał... Przestałem mu odtąd rękę podawać... i obrzydł mi na zawsze...

Ah! być o coś podobnego posądzonym przez nią?... Wprawdzie niedługo przekonałaby się, że człowiek w mojem położeniu nie gra komedyi nikczemnej...

Jedenasta!... a ja bazgrzę... a życie na minuty się liczy... Do niej... do niej... skorzystać z każdej chwili.

B... 12 czerwca.

A więc za godzinę nie całą... skończone będzie wszystko!... Trzynaście minut po jedenastej... zegarek naregulowałem z zegarem kościelnym... Rewolwer nabity... świeczka w latarce obsadzona... Nie myślę się zabijać tutaj... cały hotel by się zbiegł natychmiast... dotykanoby ciepłego jeszcze ciała mego... Nie!... chcę umierać tam, gdziem żyć tak lubił... wśród krasnej przyrody, w lesie czarnych jodeł, usrebrzonych połyskiem księżyca!... Wybrałem sobie już to miejsce... Przy małej ściesce pnącej się na górę, altanka z jodłowych krzewów... Z niej widać okno pokoju Maryi... Przeczuwam, że się będzie modlić w tej chwili... światełku w jej oknie ostatnie poślę pożegnanie...

Spostrzegłem zaraz, że poznała mnie przed kaplicą... Domyśliłem się tego po wzruszeniu z jakiem mnie witała, po serdecznym uścisku jej dłoni.

— Posłałam już Izie szczęśliwą wiadomość... — rzekła gdyśmy oglądali świeże jej rysunki.

— Szczęśliwą wiadomość? — zapytałem zdziwiony.

— Doniosłam jej, że przesilenie choroby nastąpiło...

— To jest mojej niby?...

— Naturalnie.

— A to w sposób?...

— Modliłeś się pan...

— Ah! widziałaś to pani?...

— Nie mogłam niewidzieć...

— To prawda, — rzekłem, widząc w tem potwierdzenie moich przypuszczeń — ulokowałem się na najwidoczniejszem miejscu... ale mylisz się pani... oparłszy się o kamień, zasnąłem... Głos księdza proboszcza tak mi przypominał brzęczenie osy.

Chciałem szyderstwem zniszczyć pozór śmieszności i tartuferyi.

— Nie uwierzysz pan, jak mnie ranisz kłamiąc tak przedemną — rzekła drżącym od gniewu głosem i z oczami iskrzącemi pełnemi łez....

Przeląkłem się tego gniewu. Wziąłem jej rękę i rzekłem:

— Przebacz mi pani... to... i wszystko... Masz słuszność... modliłem się... modliłem tak gorąco, żem nawet pani nie przeczuł... gdyś przechodziła... Ale cóż ztąd... wszak ludzie się modlą a jednak... cierpią...

— Tak... ale gdy taki, jak pan człowiek, klęknie i modli się, to znać, że w jego duszy wielki nastąpił przewrot... a przewrot u pana, to zdrowie...

— Są choroby, z których nic nie leczy, ani modlitwa cicha, ani nawet... takie, jak pani anioły...

— Mów pan — rzekła prawie gwałtownie.

Na moje szczęście pani Strusiowa zbliżyła się do nas... Rozmowa została przerwaną. Przy obiedzie jednak, na spacerze, widziałem, że jest niespokojną, że chce mówić ze mną... Jam unikał tego... i byłem milczący, niegrzeczny dla staruszki i innych, bom na nią tylko patrzał... nią żył... Chciałem w pamięci mej wyryć każdy jej ruch, giest, zapamiętać każdą głosu jej wibracyę.

Nareszcie słońce zaczęło zachodzić... Stałem na balkonie ich mieszkania ze smutkiem, z żalem, patrząc na tę tarczę promienną, otoczoną purpurowemi, złotemi i białemi obłokami.

Jakże to piękne!... szepnąłem, a w duchu dodałem: To raz ostatni!...

Zmrok zapadł — powietrze było parne, duszące, ponure. Pani Struś z sąsiadką swoją zasiadły na krzesłach przed willą... Marya zaczęła chodzić zwolna najprzód około nich, potem oddalała się coraz więcej. Na środku ogrodu był bassen wśród trawnika a we środku fontanna; zatrzymała się i zapatrzyła w wodę. Nie mogłem wytrzymać i zbliżyłem się zwolna do niej... Byliśmy widoczni dla dam starszych, ale rozmowy naszej słyszeć nie mogły. Kiedym się zbliżył i stanął przy niej odwróciła się i rzekła:

— Mów pan — chcę wiedzieć.

Twarz jej była zwrócona ku zachodowi i oświecona bladem światłem owych odblasków, które słońce czas jakiś zostawia po sobie... W oświeceniu tem wydawała się wyższa. Z założonemi na piersi rękami, patrząca na mnie i prawie rozkazująca, wyglądała w tej chwili jak posąg marmurowy, jak królowa, jak jakaś wyszła z głębi wód...

Zachwycony, odurzony, nie śmiejąc ust otworzyć, stałem przed nią... i admirowałem w milczeniu.

— Dość męczarni — mówiła dalej gwałtownie choć stłumionym głosem — kochasz mnie!... kochasz tak jak marzyłam... a ja... ja... wiesz... powiedziałam tam... ja nie umiem dręczyć tych, których kocham... Czyż to nie starczy do szczęścia?...

— Maryo!... Maryo!... szeptałem upojony, bo te jej słowa przejmowały mnie razem szczęściem i pragnieniem życia...

— Więc zkąd ta boleść twoja... to szamotanie straszne... ten ból wyryty w zmarszczkach czoła... śmiertelny w oczach?... Ja chcę wiedzieć... ja mam prawo wiedzieć gdzie jest rana... bo ona do mnie należy... bo mnie ją tylko leczyć wolno...

Wziąłem jej obie ręce i do ust przyciskałem, ale milczałem...

— Słuchaj — mówiła ciszej i głosem już miękkim — ja cię musiałam pokochać, boś był nieszczęśliwy... bo czułam, żem ci potrzebna... ja nie wymagam żebyś dla mnie o tem zapomniał... ale chcę podzielić twój smutek... wszystko... Jeżeliś zrujnowany... jam bogata... albo jeżeli zechcesz, mogę być ubogą... jeżeli ci co grozi... rozumiesz... ja chcę umrzeć razem z tobą... jeżeliś...

— Maryo!... Maryo moja!... — wołałem szalony.

— Ale na Boga!... powiedz... powiedz... cierpisz... a ja nie wiem...

— Jutro się dowiesz — rzekłem — widząc, że sił mi braknie.

— Jutro się dowiem?... co to znaczy?

I mała jej dłoń schwyciła moją i ścisnęła jak kleszczami...

Może prawda błysnęła przed jej oczyma...

— Jutro ci powiem wszystko...

— Powiesz... ah!... czemuż nie dziś?

— Sił nabrać muszę... Ale Maryo — dodałem prawie uroczyście — przyrzecz mi dziś jeszcze, że czegokolwiek się dowiesz, przebaczysz mi... Przestań mnie kochać... tak! chcę tego... pragnę ale choć troszeczkę pamiętaj o mnie...

— Co to znaczy... co ty mówisz?... jakim tonem!...

— Starsze panie idą — szepnąłem... i ciszej dodałem: — Przebaczysz?... nie zapomnisz?...

Uścisk ręki, długi, serdeczny, konwulsyjny był jedyną odpowiedzią...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BAŚNIE.

MIECZ ZWYCIĘZKI.

Dokończenie.

— Ha, jak się masz rycerzu z dalekiej strony, wiem ja o tobie i o twej sile, brata i jego bandy morderco! — oddaj, oddaj miecz zwycięzki, albo się żegnaj z tym światem. — A rycerz dzielny, silny i młody nic nie powiedział, tylko miecza swego dobył — widząc to olbrzym powstał, tąpnął, gwizdnął i cała jego siedziba, tak z nim, jako i rycerzem w otchłań zapadła — a w tej otchłani było czterdziestu zbójców, i gdyby anioł piękna dziewczyna, do żelaznej kuli łańcuchami przykuta.

— Hej śmiałku rycerzu młody! krzyknęli zbójcy; jesteś tu, jesteś, — a olbrzym rzekł:

— Weźcie go na to kowadło i średniemi młotami na miazgę zbijcie — i ruszyli się zbójcy do niego, a on wzniósł w górę zwycięzki miecz, i na ten miecz, kiedy w jego ręce zabłysnął, niektórzy z bandy zadrżeli, a kiedy jeszcze mocarza dłonią, zwycięzkim zamachnął mieczem, za czterdziestym silnym cięciem, ani jeden nie żył zbójca, i czterdzieści głów zbójeckich pod jego zatoczyło się nogi a samego obrzyma w sztuki rozsiekał.

Jak tym sposobem wszystkich pozabijał zbójców olbrzyma posiekał, do pięknej przystąpił panny, krępujące ją łańcuchy rozerwał i zupełnie uwolnił — ale tak się w niej rycerz zakochał, że do jej nóg miecz swój rzucił i we łzach jej błagał, aby powiedziała, czy będzie jego lub nie? Rycerz był dorodny i młody, i panna odpowiedziała:

— Wielki rycerzu, kiedy tak chce twoje serce nietylko ja, ale i lud mego ojca będzie twoim— bo to była jedna królewna, którą zbójcy dla olbrzyma herszta swego na żonę porwali — ale że ona wolałaby śmierć ponieść, niźli takiego męża być żoną, łańcuchami do żelaznej przykrępowali ją kuli, i dopóty głodem morzyć mieli aż powie że będzie olbrzyma żoną — że zaś ona tego nie powiedziała, jęcząc w tak morderczych więzach, zostawala aż dopóty, kiedy rycerz po wodę czarowną przybył, i opowiedzianym sposobem zbójców pozabijał, a olbrzyma rozsiekał.

Zakochany rycerz, skoro odwiózł do ojca królewnę córkę jego, zaraz jako wybawcy król dał mu ją za żonę — i byliby do śmierci bardzo szczęśliwi, ale rycerz chcąc siostrze owej przynieść wody, po trzech niedzielach pożycia z królewną żoną swoją z kraju tego wyjechał, do czarownej studni się udał, wody nabrał i siostrze do zamku zawiózł.

Kiedy siostra czarowną wodą twarz umyła, niby zaraz ozdrowiała i była jeszcze piękniejszą.

Mieszkając rycerz w zamku, już na łowy nie jeździł, myślał tylko o swej żonie, lecz sobie także

przypomniał rycerskie słowo, którem przyobiecał odwiedzić jędzę — a gdy się do niej wybierał, namówiona od olbrzyma siostra jego stanęła przed nim i rzekła:

— Kochany bracie, tyleś dla mnie pracy podjął, że na twojem obliczu widać drogę, trudy, znoje, pot z kurzem okrył twe ramię, twarz wypalił skwar słońca, pozwól niech ci przysługę zrobię i sprawię kąpiel.

Rycerz miecz swój odpasał, zdala wanny zawiesił nareszcie się rozebrał, do wanny wszedł i używał kąpieli — a siostra umywając mu ramiona i twarz spiekłą od słońca, pieszcząc się z nim i bawiąc, rzekła do niego:

— Kochany bracie, pozwól niech się zabawię i przekonam jaką posiadasz siłę.

Rycerz był ciekawy, jakim sposobem ona o tem chce się przekonać, a ona pokazując mu z olbrzyma brody włos, powiedziała:

— Kiedy z mego warkocza włosem, zwiążę ci na twoim krzyżu, dwa u rąk wielkie palce, a ty ich rozerwiesz, powiem żeś mocny.

Rycerz się z tego roześmiał, i pozwoliwszy na próbę, ręce na krzyż wykręcił,a ona włosem z brody olbrzyma związała mu dwa wielkie palce — lecz kiedy rycerz palcami szarpnął, włos pęknął. — Potem drugi raz związała mu we troje, ale i tak włos pęknął — jednakże kiedy zawiązała mu palce w siedmioro, silny rycerz włosu rozerwać nie mógł, a siostra śmiała się do rozpuku — a kiedy ten jej śmiech po komnatach się rozlegnął, do kąpieli rycerza wpadł olbrzym kochanek siostry jego i krzyknął:

Jak się masz morderco dwóch band zbójeckich, mój gnębicielu, zabójco mojego brata, patrzysz zdziwiony iskrzącym wzrokiem to na mnie, to na swój miecz, wnet ci te oczy, tak srogim gniewem pałać przestaną i więcej swego nie ujrzysz miecza.

Po tak okropnej przemowie olbrzym do rycerza przyskoczywszy, zajadłemi pazury, oba wydarł mu oczy — potem do dzikiego przywiązawszy go konia, w gęsty popędził bór — a wierne sługi składające rycerza dwór, w ciężkich więzach do podziemnych zamku lochów powtrącał.

Szedł pobożny zakonnik od cudownej kaplicy, do klasztoru swych braci i pod borem na łące, ujrzał zdechłego konia i na nim przywiązanego człeka — przychodzi bliżej, patrzy, człek przywiązany na wpół umarły, jeszcze w nim bije serce, lecz nic powiedzieć nie może ślepy. — Tu pobożny zakonnik pozrywał więzy, i ślepego człowieka na własnych barkach do klasztoru swych braci zaniósł.

Pobożni księża, pomodliwszy się nad nim, kiedy spostrzegli, że on jeszcze żyć może, zawezwali doktora, który kiedy prócz oczów, zupełnie go wyleczył, ślepy człowiek opowiedziawszy ostatnią tylko przygodę swoją, że mu zbójca oczy wyłupił, i zamilczawszy o reszcie, pobożnych księży prosił, ażeby w ich klasztorze do swej śmierci pozostał, — na co gdy z chęcią pozwolili, razem ż pobożnem gronem, na modły chodził, a jego każda modlitwa tak była szczerą i rzewną, że go cały zakon bardzo polubił, i bardzo mu dobrze tam było — i byłby tam do samej śmierci, gdyby nie dręczona tęsknotą, młoda, piękna żona, owa królewna z którą tylko żył trzy niedziele i Pan Bóg dał jej syna, a syn chociaż maleńki z postawy i twarzy, był jako ojciec — więc dręczona tęsknotą, nieszczęśliwa żona i matka, poleciwszy się Bogu, wzięła synka za rączkę, i poszła w świat szukać swojego męża.

Długą i przykrą przeszedłszy drogę, zaszła do tego klasztoru i wstąpiwszy do kościoła, gdy zakon szedł na modlitwę, a ona pokornie dłonie wyciągała do nieba, ujrzała męża swego, i chociaż był oślepiony, natychmiast go poznała, bo swój zawsze pozna swojego, i ona biedna, kiedy go dobrze poznała, upadła i zemdlała.

Dziwno to wszystkim było, co za kobieta z obcych stron, o kamienną posadzkę piersiami bije i bez przytomności woła: mężu mój mężu! a jej syn rzewnie płacze i rozpacza, lecz się przestali dziwić, kiedy się dowiedzieli, że to jest tkliwa i wierna żona z małem dziecięciem, a biedny człowiek ślepy, to mąż czuły kochający żonę i dziecię.

Więc kiedy się rozpoznali, mąż i żona uściskawszy się nawzajem i całując dziecię swoje, tak zaraz się umówili, aby bez najmniejszej zwłoki czasu, udali się do królestwa, gdzie jej ojciec będąc królem, ich powrotu oczekiwał utęskniony.

I udali się w podróż daleką, lecz, że nie mieli pieniędzy, szli sobie razem piechotą, z jednej strony niewidomego rycerza, szła cnotliwa żona jego, a z drugiej mały chłopczyna ich syn, prowadził ślepego ojca.

W czasie tej podróży, kiedy byli blizko domu, nocując pewnego razu wśród boru, nad ranem przyleciało dwóch kruków, które usiadłszy na drzewinie, kędy oni spoczywali, tak mówili, a naprzód spytał się jeden drugiego:

— Gdzież ty lecisz? a drugi mu obpowiedział

— Czy nie widzisz ile cierpię? jestem ślepy, bo te przeklęte sokoły, co ludziom służą, kiedy wczoraj na mnie wpadły, obu oczów postradałem i ledwie z życiem zemknąłem — więc lecę do tego źródła za lasem, co wzrok przywraca — i pierwszy mu rzekł:

— Oj to się spiesz miły bracie, bo jak słońce tylko wstanie, to źródło wzrok przywracające, wypije.

— A to bądź zdrów, lecę — i poleciał.

A królewna, żona młodego nieszczęśliwego rycerza, nie mogąc spać po nad rankiem, słysząc rozmowę kruków, czem prędzej za odlatującym w tą samą stronę pobiegła — i zabiegłszy za las, ujrzała z dala, jak czarny kruk w ślniącym jutrzenką źródełku, obmywal oczy, i obmywszy, odleciał.

Królewna mając brzy sobie flaszkę podróżną, w to samo miejsce pobiegła, z błyszczącego jutrzenką źródła, wody nabrała i do męża wróciła — mąż się też właśnie przebudził, a ona do niego rzekła:

— Mężu mój luby, dozwól, niech twoje nieszczęsne oczy przemyje, — on jej pozwolił, a kiedy za trzecim razem przemyła, rycerz jej młody urodny mąż, na oczy przejrzał.

Jaka to była radość powiedzieć trudno — ale uszczęśliwiony rycerz powrotem swojego wzroku, prosił żony, aby mu dozwoliła wstąpić do zamku, gdzie jego nikczemna siostra ze swoim mężem olbrzymem przebywa, bo tam jego wierni słudzy w kajdanach jęczą, i tam jego miecz zwycięzki.

Nie mogąc się żona oprzeć tak słusznej prośbie męża, z synem w blizkości została, a on wszedłszy do zamku, najprzód wpadł do tej komnaty, gdzie wisiał jego miecz — wpada, swój miecz zdejmuje ze ściany i biegnie przez znajome salony, biegnie i drzwiami trzaska i mieczem brząka — a olbrzym słysząc, ten podwoi trzask i miecza brzęk, naprzeciw niego ze swoją żoną wypada — i gdy zdziwieni oboje, za filar schronić się chcieli, a olbrzym wymierzył żelazną pałkę, młody i silny rycerz, jak dobył z pochwy swój miecz, i jak nim machać zaczął, ogromnego olbrzyma na drobne porąbał sztuki — na wyrodną zaś siostrę nie chcąc nawet i spojrzeć, w podziemia zamku się udał, zkąd sługi i dwór wybawiwszy, do jędzy, której dał rycerskie słowo, poszedł — i przybywszy do ogrodu, w miedzianą bramę mieczem uderzył, aż cztery końce świata powtórzyły odgłos miecza.

Przelękniona, chociaż wściekła, wypadła jędza z ogrodu i miedzianą bramę swoją w oka mgnieniu otworzyła i nie krzyknęła jako wprzódy, ale gdyby nie jędzona, do rycerza smutnie rzekła:

— O rycerzu, z jabłkiem złotem, oddałam ci serce moje, a ty już masz inną żonę — jednak za to, żeś rycerskiego dotrzymał słowa, powiem ci jedną rzecz, byś czemprędzej biegł do zamku, jeśli chcesz być jeszcze żywy — a więc bądź zdrów i szczęśliwy.

Rycerz do zamku bieży, do znajomych komnat wpada, patrzy, jego siostra zaczarowaną maścią, posiekane ciało olbrzyma zlepia, i już, już ostatni kawałeczek przyprawiała, a olbrzym już się ruszał, kiedy rycerz silny, młody, zwycięzki miecz swój podniósł, i tak na nowo olbrzyma jako też potem i siostrę, na drobne sztuki porąbał — i dopiero z dworem swoim i wierną sobie służbą do żony i syna wróciwszy, z nią się złączył, do jej ojca zaszedł, i po jego śmierci był królem.

JASKINIA POTEPIEŃCA.

POWIEŚĆ

— PRZEZ —

FR. XAW. TUCZYNSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

— Proszę pani! — zapytał, jak to rozumiesz, czyli cóż to znaczy, żeś spoważniała? Bez przyczyny nic się nie dzieje, dla tego i tu powinna być przyczyna, której ja odgadnąć nie mogę.

— Zaraz panu wytłomaczę. Oto poznałam więcej serc ludzkich, a to bardzo poucza! — dodała z przyciskiem.

Cześnikiewicz się rozśmiał.

— Istotnie pani spoważniałaś tak, że jak jaki filozof już badasz serca ludzkie. I moje zbadałaś już pani? Wolno się zapytać, jaki

sąd wypadłby z jej filozoficznych ustek dla mego serca?

Celina nic na to nie odpowiedziała.

— Niechże się dowiem! — nalegał Cześnikiewicz żartobliwie.

— Lepiej się pan nie pytaj, — odpowiedziała po małej chwili Celina.

— A to czemu?

— Bo mógłby się mój sąd panu nie podobać!

— Ho! ho! tak?

Na te słowa zaczął się śmiać. Nie wierzył bowiem, aby Celina miała nie podchlebny sąd o nim wydać, bo był przekonanym, że wie o jego zamiarach, że może nawet domyśla się rozmowy ze Stolnikiem, a może nawet....

Zapytał się znowu z uśmiechem:

— Więc moje serce wywarło wpływ na usposobienie pani?

— Naturalnie!

— A inne serce także?

— Naturalnie!

— Wolno się zapytać czyje? Może .... może.... cygana! — dodał żartem.

Celina nic nie odpowiedziała, tylko spojrzała nań groźnie.

— Więc poznałaś także i jego serce? — ciągnął dalej Cześnikiewicz tonem żartobliwym.

Celina jeszcze nie odpowiadała.

— Jaka szkoda, że mnie pani nie chcesz pouczyć o jego sercu. Sądzę, że musi być wyborne, gdyż on jest perłą pomiędzy wszystkimi cyganami. Powiedz mi pani, w jakim stósunku znalazłaś jego serce do mego?....

— Jak złoto do polnego kamienia! — odpowiedziała szybko Celina.

Cześnikiewicz się rozśmiał.

— Ha! ha! ha! Zażartowałaś pani ze mnie, ale dobrze mi, bo na co się pytałem. Moje serce i uczucia, które w mem sercu tleją, są pani znajom....

— Przepraszam pana, — rzekła przerywając szybko Celina, — zapomniałam, mama na mnie czeka, muszę się oddalić!

To mówiąc powstała i ukłoniwszy się Cześnikiewiczowi, odeszła.

Cześnikiewicz chwilę popatrzał za nią, mając jeszcze na języku niedokończony frazes, potem się rozśmiał i rzekł:

— Dalibóg, ona mnie kocha!

Zaświsnąwszy piosenkę, schwycił za czapkę i wyszedł ze solonu.

Po rozmowie z panną Celiną, wyszedł Cześnikiewicz ze zamku i kazał sobie okulbaczyć konia, aby się również przejechać. Wprawdzie powietrze nie było po temu, bo chmury coraz się zgęszczały, wiatr powstawał coraz gwałtowniejszy, jednakże Cześnikiewicz na to nie uważał.

— Zabawna to była rozmowa! — mówił sam do siebie. — Rozumiem wszystko... gniewa się na mnie o tego przeklętego cygana. Mam pewnie mało uczucia dla niego.... ha! ha! ha! zjadł djabła i cygan. Sympatyzować z nim nie myślę, chociażby świat cały klękał u stóp jego, raczej wyszukałbym mu stósowną nagrodę, to jest gałąź — suchą... Ona mnie kocha, jestem tego pewny, ale dla czegóż mnie tak drażni?

Konia przyprowadzono, Cześnikiewiaz wsiadł i zawrócił ku bramie. W tem wzrok jego padł na okno komnaty, w której cygan jeszcze mieszkał. Ostatni siedział właśnie w oknie i jak najspokojniej patrzał na Cześnikiewicza.

— Ha! łotrze! — pomyślał Cześnikiewicz, — niedługo będziesz mi tu zawadzał! Pójdziesz do djabła, od któregoś przyszedł!

To wymówiwszy, wspiął konia ostrogami i puścił się w stronę, dokąd Stolnik przed chwilą odjechał. Ujrzał go też niedługo jadącego stępem na alei.

Stolnik był zamyślony.

Cześnikiewicz zbliżył się i jadąc jeden obok drugiego, obojętną toczyli rozmowę.

— Pan Miecznik długo o sobie znać nie daje, — rzekł Stolnik, — a ciekawy jestem bardzo, czy przeczucia jego się ziściły. Daj Boże, aby jakiego nieszczęścia tam nie było. Otóż trzeba będzie wysłać posłańca na zwiady. Cóż waszmość na to?

— Bardzo słusznie, bardzo! — odpowiedział Cześnikiewicz. — Z tem wszystkiem pozwalam sobie powiedzieć, że chociażby się tam wydarzyło jakie nieszczęście, to nie uwierzę, aby pochodziło od owego widziadła w jaskini.

— No! i ja w to nie wierzę! — odrzekł Stolnik, — i waszmość przyznasz mi zapewne tyle wykształcenia! Zapewne — świat nasz od cudów nie jest wolnym, ale cuda nie będą się kryły po jaskiniach, ani nie przybiorą na siebie postaci starej, przykrej baby.

Cześnikiewicz się rozśmiał.

— Naturalnie! — rzekł wesoło, cud ukryłby się raczej w postaci pięknej dziewczyny, bo i tak powiadamy: cudowna dziewczyna! a nie: cudowna baba!

Stolnik brwi namarszczył; nie podobała mu się ta trawestacya swej myśli.

— Nie żartowałem bynajmniej, — rzekł chmurnie, — a mianowicie nie w tym sensie, jak to waszmości przyszło do głowy. O innym ja cudzie myślałem. Wiesz waćpan, co się działo za Szweda w Częstochowie? — otóż takie i tym podobne cuda miałem na myśli.

— Ja znowu myślę, — odparł Cześnikiewicz, — że ten i temu podobne cuda, to są tylko pobożne podania, przesądy z dawnych ciemnych czasów pochodzące, a nie mające żadnej...

— Co waść sobie myślisz? — przerwał mu groźnie Stolnik, — proszę mi o tem nigdy nie wspominać! Jeśli waćpan nie szanujesz tego, co twoi przodkowie za święte uważali i czcili, to wyparłeś się wszystkiego, co narodowe. Mnie przynajmniej proszę o tem nie gadać; urodziłem się z tem przekonaniem i z tem przekonaniem pragnę umrzeć.

To mówiąc wspiął konia ostrogami i kłusem pojechał. Cześnikiewicz nie spodziewając się takiego skutku, zatrwożył się, aby Stolnik na seryo się nie rozgniewał. Podjechał więc bliżej.

— Mości Stolniku! — rzekł z uszanowaniem, — jeśli mówiłem o przesądzie, to nie dla tego, abym wiarę przodków moich chciał wyśmiewać, owszem szanuję dawne przekonania...

— Ale ich nie podzielasz! — przerwał mu znowu Stolnik, — wiem o tem. Chociaż w naszej kochanej Rzeczypospolitej ludzie wierzą, jak dawniej, to w krajach cudzoziemskich już inaczej nauczają. Wyrzucają Boga, każą się kłaniać prostemu rozumowi, jakby rozum ludzki był nawet coś wyższego od samego Stwórcy. Cóż z tego za skutki? Moralność podkopana nigdy dobrych owoców wydać nie może. We Francyi zepsucie aż do obrzydliwości, wywoła wkrótce bunty i rozboje; król sąsiedni napełniony zasadami Woltaira, tchnie tylko za zaborami, a głosząc wolność i idee humanistyczne, trzyma kraj swój w despotyzmie. Oto są skutki niewiary waszej... Teraz zakończmy, bośmy już w domu.

Wjechali w bramę, zsiedli z koni i udali się na pokoje.

Już też zmrok gęstniał coraz mocniej, deszcz zaczął padać, a wiatr coraz większą wyprawiał muzykę.

Stolnik z Cześnikiewiczem udali się do komnaty, przeznaczonej na kancelaryę. Nie długo też, stósownie do rozkazu, przyszedł podstarości. Skłonił się nizko i w milczeniu czekał rozkazu. Stolnik wyjął z biórka spory wór dukatów, wysypał na stół, odliczył pięćdziesiąt i rzekł do podstarościego:

— Chodź waćpan bliżej!

Podstarości się przybliżył.

— Jutro każesz waćpan odejść owemu, jak go tam nazywacie, cyganowi. Poprzednio zapytaj go, czyby nie chciał w moich dobrach przyjąć jakiegokolwiek zajęcia — jeśli odmówi, to może odejść, a Waćpan wręczysz mu te oto pięćdziesiąt dukatów i dasz mu nowy całkiem ubiór, który przyślę wkrótce przez mego szatnego.

To rzekłszy skinął na znak odejścia. Podstarości wyszedł. Cześnikiewicz siedział zadumany; coś mu poszło w niesmak, bo zdawał się być zagniewanym.

— Mości panie Stolniku, — rzekł, gdy podstarości się oddalił, — pięćdziesiąt dukatów dać takiemu łajdakowi, który w życiu może kilku złotych nie posiadał, to zanadto wspaniałomyślności.

Stolnik stanął przy biórku, wetknął rękę za pas, i rzekł dumnie.

— A cóż, Mości Cześnikiewiczu, czyż życie córki Stolnika Turajskiego niżej cenisz od marnych pięćdziesięciu dukatów?

— Broń Boże! broń Boże! — odpowiedźiał szybko Cześnikiewicz, — życie panny Celiny, Stolnikownej Turajskiej, jest więcej warte, jakbym mógł nawet powiedzieć. Lecz cóż obleciświat cygan ma za związek z życiem panny Celiny?

— Ha! ha! ha! — śmiał się Stolnik, — czy Waść zapomniałeś o tem, co zaszło? Waść krótką masz pamięć!

— O nie, nie zapomniałem, — odpowiedział Cześnikiewicz, — tylko zasługę cygana nie tak wysoko cenię, czyli raczej nie ma on żadnej zasługi, bo byłoby się bez jego nieproszonej po-

mocy obyło. Zresztą panu Dobrodziejowi powiem jeszcze coś, o czem dotychczas z pewnych względów milczałem. Cygan nocami gdzieś wychodzi i wraca dopiero nad ranem. Kazałem memu słudze łotra szpiegować, ale nadaremno; to tylko pewna, że chodzi do lasu.

— A tam po co? — zapytał zdziwiony Stolnik.

— Nie wiem, ale się domyślam.

— Więc powiedz Waszmość.

— Domyślam się, — odpowiedział Cześnikiewicz, — że złoczyńca zamek okrada, i łup znosi na pewne miejsce.

Stolnik się zatrwożył.

— Nie podobna! — rzekł, — jego fizyognomija bynajmniej podłego nie zdradza charakteru, owszem, sądzićby wypadało, że to jest człowiek najuczciwszy.

Cześnikiewicz wzruszył ramionami.

— Prawdziwy łotr, — dodał, — umie nadać swej twarzy wyraz tak poczciwy, że możnaby się o szyję założyć, iż nie jest łotrem a tymczasem... Nasz jednak cygan nie ma tak poczciwej fizyognomiji, owszem to czysty typ obwiesia, szalbierza, cygana. Jego poczciwość posądzałem dawno, ale nic nie mówiłem stanowczego; teraz wiedząc o jego nocnych wycieczkach, śmiało utrzymuję, że to łotr nad łotrami i Turaj może być szczęśliwym, jeśli go się jak najprędzej pozbędzie.

— Ha! jeśli tak! — rzekł Stolnik, nie wiedząc co o tem sądzić, — może waszmość masz i prawdę. Jednak.... no! już jutro pójdzie, a tak usunie się wszystko.

— Pójdzie? — bąknął Cześnikiewicz, — pytanie czy pójdzie, może będzie chciał pozostać.

— Cóż tedy robić?

— Wypędzić na cztery wiatry! — rzekł szybko Cześnikiewicz.

Stolnik się zamyślił, potarł ręką czoło, a potem rzekł z powagą:

— Co mi tam waszeć gadasz, trudne do uwierzenia, jednak być zawsze może. Waszmość jesteś do mego domu przywiązanym, zatem mogę się spodziewać, że tu w tem nie masz żadnego osobistego interesu.

— Pan Dobrodziej możesz być przekonanym! — wtrącił Cześnikiewicz.

— Trzebaby go więc wyszpiegować, — ciągnął dalej Stolnik, — schwycić na gorącym uczynku.... ale nie! Panna Celina ma o nim dobre mniemanie, a gdyby się nań co wykryło, straciłaby wszelką ufność do ludzi. Przeto zakazuję wszelkiego szpiegowania. Jutro niech więc odejdzie, a gdyby jeszcze się tu raz pokazał, wtenczas nie znalazłby we mnie przyjaciela. Każ waćpan to jeszcze powiedzieć podstarościemu.

Cześnikiewicz się ukłonił i wyszedł. Skoro drzwi za sobą zamknął, zaśmiał się — ha! ha! ha! aby raz pozbędzie się nienawistnego człowieka; ale nim mu się z oczu namknie, trzebaby dać mu się we znaki! Ale jak? Tu nagle myśl jakaś przyszła mu do głowy, bo się dziko zaśmiał i spiesznym krokiem pobiegł do swego pokoju.

Zaraz zawołał służącego i dał mu swe rozkazy. Musiały być ważne, bo drzwi zamknął szczelnie, aby go nikt nie podsłuchał. Po długiem gadaniu ze służącym odszedł znów ze śmiechem na pokoje. Już było dosyć późno; damy były zebrane w salonie, dokąd się zaraz Cześnikiewicz udał.

Uderzyła wszystkich wesołość, jaką się dzisiaj Cześnikiewicz odznaczał; dawno takim nie był. Stolnik tylko sądził, że dzisiejsza poobiednia rozmowa pobudziła go do takiej wesołości.

Niedługo dano znać do stołu. Panowie podali paniom ręce i przeprowadzili je do komnaty jadalnej. Prócz znajomych nam osób, było na wieczerzy dużo jeszcze innych pań i panów, gdyż na Turaju ani dnia nie obyło się bez gości.

Rozmowa toczyła się na zwykłem polu — o polityce. Króla Stanisława, ulubieńca carycy, chciano zdetronizować, a obrać napowrót Sasa, których złote czasy jeszcze im były w pamięci. Wspominali nawet, aby Saksonią złączyć z Polską, bo Drezno Słowianie pobudowali, a przynajmniej słowiańscy rybacy dali mu początek.

Damy, których polityka nie zajmowała, bawiły się Cześnikiewiczem, sypiącym dzisiaj iskrami dowcipu. Wychowanie paryzkie dało mu lekkość w pożyciu towarzyskiem, bardzo różnem od rycersko-poważnego młodzieży wychowanej w szkołach narodowych. Już sam strój pstry, jaskrawy, wtenczas jeszcze dziwacznie wyglądający, ściągał na siebie uwagę i nastrajał umysły do wesołości.

Wesołość była też powszechną.

Dziwny jednak kontrast do całego grona

tworzyła panna Celina. Ponura, roztargniona, czasami zamyślona, nigdy sama nie rozpoczynała rozmowy, chyba na pytania odpowiadała, i to jeszcze jednosyllabowemi wyrazami. Cześnikiewicz widział to, dla tego wciąż ją zaczepiał.

Tu odezwał się jeden z gości:

— Mości Stolniku! cóż wasz cygan porabia?

— Już zdrów, — odpowiedział Stolnik; — ale to przecie nie cygan!

— Wszyscy go tak nazywają, — rzekł znowu gość.

— Chociaż dano mu taki tytuł, jednakże nie jest cyganem — powiedział Stolnik, — można to poznać po jego twarzy, nic w niej nie ma azyatyckiego.

— Cyganie pochodzą z Egiptu, a nie z Azyi, — wtrąciła pani Stolnikowa. — Powiadają, że nie chcieli przyjąć przed Herodem uciekającego Zbawiciela z Najś. Panną, dla tego skazani są na wieczne tułanie.

— Tak powiadają, — odrzekł Stolnik, — ale to nie prawda. Historyczną jest już prawdą, że to szczep indyjski, czyli raczej rozbitki tego szczepu. W czternastym wieku naczelnik hordy tatarskiej, Tamerlan, zapuścił swój oręż aż w głąb Indyi. Szczep jeden uszedł przed okrucieństwem najezdzcy i rozprysł się po całym świecie, prowadząc odtąd życie tułacze, nomadyjskie. Wszyscy jednakże nie są prawdziwymi cyganami, ale urwiszami, uciekającymi przed karą za zbrodnie.

Przytomni słuchali pilnie Stolnika.

— Domyślam się, że i nasz cygan jest jednym z ostatnich! — rzekł z przekąsem Cześnikiewicz, rzucając znaczące spojrzenie na Stolnika i Stolnikównę.

Panna Celina odpowiedziała mu wzrokiem pogardy. Cześnikiewicz zrozumiał jej wzrok i zarumienił się, bo poznał, że tą razą nie w porę wybrał się z dowcipem, zwłaszcza, że nawet obcy goście spojrzeli nań z oburzeniem.

— Niechby był i urwiszem, — rzekła z powagą Stolnikowa, — nie godzi się panu Cześnikiewiczowi poniżać go w obec nas, gdyż mu winniśmy ocalenie naszej jedynaczki. Już to samo w naszych oczach zmywa z niego każdą plamę, jeśliby miał jaką. Jednakże ja uważałam w nim dotychczas tylko dobre przymioty i najwyborniejsze serce.

Cześnikiewicz patrzał na Stolnikową z uśmiechem ironicznym, wnet zamienił ten uśmiech na całkiem szyderczy, gdy zobaczył, że panna Celina z uczuciem wdzięczności spojrzała na matkę.

— Postawimy go też na takiem stanowisku, — ciągnęła dalej Stolnikowa, — że będzie odtąd mógł żyć wygodnie i niezależnie, a zarazem będzie mógł swe zdolności użyć na dobre.

Stolnik się zaambarasował.

— Przepraszam jejmość, — rzekł, — już w tym względzie rozporządziłem. Dałem mu pięćdziesiąt dukatów i...

— To nie było mym zamiarem mój mężu, — odpowiedziała Stolnikowa, — chciałam go inaczej nagrodzić, naprzykład, dając mu jaką posiadłość, lub stósowny urząd. Ale i tak dobrze: dukaty może zatrzymać a przezemnie projektowaną nagrodę jeszcze można mu dać. Nieprawda, panowie? — dodała zwracając się do gości.

Wszyscy naturalnie przywtórzyli.

— Jutro sama się tem zajmę, — rzekła jeszcze.

— Jutro?.. — wymówił Stolnik przeciągle, — dobrze, ale trzeba go rychło zawiadomić, gdyż podstarościemu kazałem go jutro wywieźć, dokądby żądał.

— Ach! — zawołała panna Celina z wyrazem przestrachu i oburzenia.

— I to czemu? — zapytała Stolnikowa.

— Bo... bo... — jąkał się Stolnik, — zaszły okoliczności...

Stolnikowa nie czekając tłumaczenia męża, zwróciła się do służącego i rzekła:

— Jutro jak najrychlej, albo dzisiaj jeszcze zawiadomisz nieznajomego o tem, coś słyszał; a zarazem powiedz, aby pozostał, aż się z nim rozmówię.

Ledwo tych słów domówiła, dał się słyszeć na dziedzińcu krzyk, hałas psów, znów krzyk, a potem wszystko ucichło.

Państwo zdziwieni pytali jeden drugiego: co to? cóż to jest? Szybko wybiegli panowie na dwór, ale deszcz lał rzęsisty, wiatr huczał przeraźliwie, a w ciemności dłoni przed oczyma widzieć nie było można.

Dowiedzmy się o przyczynie hałasu.

Kiedy podstarości wrócił od Stolnika do swego mieszkania, klął cygana w żywe kamienie. Nie mogło mu się to w głowie pomieścić, że taki, jak ów nieznajomy, ma dostać pięćdzie-

siąt dukatów i za nic!

— Patrzcie, patrzcie! — mówił sam do siebie, — taki urwisz i pięćdziesiąt dukatów!.. Niechże go djabli porwą!.. I za co tyle pieniędzy? że konie zatrzymał? ba!.. gdybym ja tam był, jak uciekały, byłbym je też zatrzymał z pewnością. Niech go trzysta djabłów weźmie. Gdybym nie musiał kwitu dostawić, dałbym mu zamiast dukatów pięćdziesiąt ot... tem!... (tu schwycił za trzonek batoga wiszącego na ścianie) ale tak, trzeba mu dać wszystko.

Nie długo przyszedł szatny, niosąc piękny ubiór na ramieniu...

— A to dla kogo? — zapytał podstarości.

— Dla kogo? przecież nie dla waćpana, tylko dla tej cygańskiej duszy, — odpowiedział szatny.

— No! widzisz waćpan! — bąknął podstarości, kiwając głową, — prawda, prawda, byłbym zapomniał. Ależ to wszystko rozumnemu człowiekowi w głowie pomieścić się nie może. Wiesz waćpan, że ja mam dla niego pięćdziesiąt dukatów? Niechże go trzysta djabłów weźmie i cygana!

— Na prawdę?

— Nie żartuję, patrz waćpan, jeszcze mam je w kieszeni, bo to człowiekowi żal rozstać się z chrześciańskim groszem, który ma iść na ofiarę poganowi.

Nie rozmawiali jeszcze długo, gdy wszedł do pokoju służący Cześnikiewicza.

— A waćpan co niesiesz dla cygana?

— Ja? może co najlepszego, — odpowiedział przybyły.

Tu przybliżył się do ucha podstarościego i chwilę szeptał mu coś po cichu. Podstarościego kwaśna i zadąsana mina wyjaśniała się coraz bardziej, a przy końcu relacyi zaśmiał się radośnie.

Służący skończywszy, ukłonił się i wychodząc, rzekł jeszcze we drzwiach:

— Ale niech będzie akuratnie spełnionem!

— Rozumie się, rozumie! — zawołał za nim podstarości, — ba! nie miałbym tego wykonać!

Zatarł teraz ręce, a zwróciwszy się z rozpromienioną twarzą do zadziwionego szatnego, mówił z wewnętrznem zadowolnieniem:

— A to mi rozkaz!... a to wybornie!... szkoda, że nie za każdego dukata po jednemu, tylko połowę, no!... ale i to wybornie!... Niech go trzysta djabłów weźmie! Szkoda, że nie za każdego!... A to wybornie!... No! to trzeba już go kazać zawołać.

To mówiąc otworzył drzwi.

— Hej! — zakrzyknął, — Kuba! jesteś tam? Idź-no po cygana, niech tu natychmiast przyjdzie. Gdyby nie chciał, to go przyprowadzisz. Słyszysz!

— Dobrze, wielmożny panie! — odezwał się Kuba za drzwiami.

Podstarości zwrócił się do szatnego.

— Ot! zaraz rozpocznie się komedya! — rzekł.

— Cóż to wszystko znaczy? Jaka komedya? — pytał szatny, nie mogąc pojąć radości podstarościego.

— Zobaczysz waćpan, zobaczysz! — powtarzał podstarości, zacierając ręce.

Szatny był ciekawym, co takiego będzie mógł zobaczyć, dla tego znów zapytał:

— A mości dobrodzieju, jak też jesteś skrytym; przecież mi proszę powiedzieć, cóż takiego?

— No! ha! ha! ha!... no! hi! hi! hi!... uważaj waćpan, hu! hu! hu!... oto pan cygan dostanie ubiór, pięćdziesiąt dukatów, i... dwadzieścia batogów!...

Szatny się zadziwił.

— Ależ słuchajno waćpan, to być nie może, — rzekł, — to być nie może, na żaden sposób być nie może!

— Jakto być nie może? co waćpan sobie myślisz? — zapytał się podstarości ujmując się pod boki.

— A tak, to być nie może! — powtórzył szatny, — tak JWpan Stolnik zasług nie wynagradza. Zwyczajnego chłopa bić nie pozwala, a cóż dopiero wybawcę swej córki. Pamiętasz, jak to waćpana zbeształ, kiedyś dał plagi fornalowi? Otóż radzę nie bić cygana, abyś nie pozbył chleba.

Podstarości twarz odurzył, a potem oddech ze siłą wyrzucił.

— Bah!.. JWpan Stolnik sam to rozkazał przez służącego.

— To nie nasz służący, to Cześnikiewicza.

— Wszystko mi jedno.

— Weźmij waść odpowiedzialność za to na siebie, bo ja ręce umywam.

— Rozumie się!

— Zaczekaj jednak z egzekucyą, póki ja

się nie przekonam, czy rzeczywiście pan Stolnik wydał taki rozkaz.

— A to waćpan idź z panem Bogiem.

Szatny schwycił za czapkę, aby jak najprędzej wyjść, ale w tej też chwili cygan ukazał się we drzwiach.

Podczas gdy w pokoju podstarościego powyższa toczyła się rozmowa, klęczał cygan obok swego łóżka. Głowę ukrył w pościeli i tak zostawał w niemej nieruchomej postaci.

Naraz podniósł głowę do góry i załamał ręce.

— O Boże! o nieba! — wyrzekł żałośnie, na cóż się narodziłem? czyż na zawsze skazanym będę na te męczarnie?... Ledwo promień jaśniejszy zabłyśnie mi, już znowu gaśnie... rzucać trzeba wszystko, aby znów żyć w pogardzie i dzikości!...

Tu głęboko westchnął.

— Matka mnie oczekuje!.. — mówił znowu po chwili, — moja droga matka... a ja oderwać się nie mogę. O ty mi dobrze radzisz moja matko!... tak pójdę znów do ciebie, zostanę przy tobie, z tobą żyć będę...

Znowu milczenie.

— Pójdę, ucieknę, — jęczał dalej, — i już nigdy nie wrócę, bo do czegoż mnie to prowadzi? Rzucę rozkosze, najdziksze życie wieść będę, a może zagoi się serce moje. Och! to serce! ono pęka, rwie mi się z piersi, czuję jak mi się krwią zalewa, a jednak... nie mam mocy oddalić się.

Chwilę znów milczenie, a potem z coraz wzrastającym głosem mówił dalej do siebie:

— A jednak rzucę ten raj, opuszczę to miejsce, gdziem tyle doznał rozkoszy i tyle męczarni... Jednak te męczarnie były słodkie dla mnie. Tak!... pójdę! pójdę i już nie wrócę!... Ale ten ogień w piersi?... Ha! łzy codziennie wylewać będę, a może one ten ogień zagaszą. Tak! pójdę, zaraz pójdę, i już więcej nie wrócę. Nie! — nie!...

Tu opuścił głowę i znów chwilę milczał, potem podniósł głowę, i zaczął głosem rzewnym, smętnym:

— Ale ona taka dobra!... ale ona taka piękna!... ach jej oczy tak przejmują mnie do głębi, tak wnikają w duszę!... jak noże krają mi serce, ranią je, a jednak zabić nie mogą. Och! wiecznie chciałbym cierpieć od jej oczu, zawsze chciałbym patrzeć w tę twarzyczkę anielską, przez całe życie chciałbym słuchać jej dźwięcznego głosu... (z mocą) alem ja szalony, tak, szalony! W głowie mi szumi, krew lica zagrzewa... tak, jam szalony! Ona wielka pani, śliczna, śliczniejsza jak anioł... a ja... nędzarz, nie śmiem nawet powiedzieć, com ja za jeden... O Boże! zabierz mnie lepiej z tego świata, bo jeśli mnie nie zabijesz, (z rozpaczą) ja sam się zabiję!! (po chwili) Ona do mnie tak łagodnie mówi, tak się o mnie troszczy, jak gołębica o swoje pisklę... bo nie wie, com za jeden! Och! gdy tak w jej oczy patrzę, coś niewidomie popycha mnie, abym padł jej do nóg, ucałował stopy... alem ja... nie mogę nawet do siebie wymówić, bo się lękam sam siebie. Tylko całuję to miejsce, na którem jej nogi stały, całuję rzeczy, których się rękami dotknęła... o! ja ją tak koch...! Milcz języku, nie bluźnij! Ona anioł, a tyś... a tyś...

— Cygan!! — krzyknął Kuba piorunującym głosem, rozwarłszy drzwi z szelestem, — hej! ty zabieraj się natychmiast do wielmożnego pana podstarościego! Natychmiast — słyszysz?!

Cygan przelękły tem nagłem przerwaniem monologu, podniósł się i moment ani słowa przemówić nie mógł.

— Będzie zaraz? — zawołał groźnie Kuba.

— Otóż jestem, — odpowiedział pokornie cygan, zbliżając się do drzwi.

Kuba schwycił go za kołnierz i mocno popchnął. Cygan nic na to nie rzekł, tylko westchnął boleśnie.

Na dworze było ciemno, deszcz lał jak z cebra, a wicher wył na gzymsach zamkowych i szumiał po drzewach. Niedługo stanął cygan pod mieszkaniem podstarościego; Kuba otworzył drzwi i wepchnął go do pokoju.

Podstarości zobaczywszy cygana przed sobą, ujął się lewą ręką pod bok, a prawą pokręcał wąsa, naśladując Stolnika. Cygan zaś ciekawy po co go tu zawołano, oglądał się na wszystkie strony. Przez cały ciąg pobytu na zamku, nigdzie nogą nie postał, prócz pokoju, który był dla niego przeznaczonym i w ogrodzie; wszystko było mu więc tutaj nieznajome.

— Słuchaj łajdaku, cyganie! — zakrzyknął podstarości, — wiesz, po co cię kazałem wołać?

Cygan poruszeniem głowy dał znak, że nie wie.

— Zaraz ci powiem, — rzekł głosem szy-

derczym podstarości, — oto JWpan Stolnik za przysługę uczynioną jego córce, daje ci pięćdziesiąt dukatów, ten tu oto ubiór i każe ci wynosić się ze zamku natychmiast, ale poprzednio dostaniesz inną nagrodę, tobie najwłaściwszą...

Podstarości przerwał nagle, bo w twarzy cygana zaszła taka zmiana, iż oczu swoich od niej oderwać nie mógł. Ów cygan pokorny, potulny, naraz niby urósł, a na obliczu jego osiadła duma książęca. królewska.

— Proszę powiedzieć JWpanu Stolnikowi, — rzekł cygan po małej chwili, — że nikt za pieniądze życia swego nie sprzedaje, a zwłaszcza ja! Com uczynił, uczyniłem z ludzkości, a nie w innym celu, ani w oczekiwaniu nagrody.

Podstarości jak szeroko otworzył usta i gapowato wpatrywał się w cygana, bo nie mógł pojąć, jak kto może gardzić dukatami, które on radby zatrzymał. Cygan i gardzi pieniędzmi! Szatny ze swej strony natychmiast polubił cygana. Ten wzrok dumny, owa szlachetność w postępowaniu ujęła go za serce; w momencie został przyjacielem cygana.

Niedługo trwało osłupienie podstarościego; z radości, że cygan nie weźmie pieniędzy, zatarł ręce i rzekł:

— Słuchaj cyganie! kiedy nie chcesz pieniędzy, to bardzo dobrze, bardzo dobrze, bo i tak zmarnowałbyś je lub zakopałbyś w ziemi. Może zresztą nakradłeś już ich dosyć. No! to twoja hultaju rzecz; ale czy ubioru też nie chcesz?

— Powiedziałem, że nic nie chcę, — odpowiedział cygan tym samym tonem, co pierwej. — Mój ubiór jeszcze wystarczy na podróż. Więc odchodzę.

To mówiąc zwrócił się ku drzwiom.

— Hola! czekaj tylko! — zakrzyknął podstarości, — kiedy gardzisz pieniędzmi i ubiorem, to ostatnią nagrodą pogardzić nie możesz.

— Gardzę każdą nagrodą! — wymówił cygan z przyciskiem.

— Milcz gadzino! — zawrzasnął podstarości, — zamknij twą cygańską gębę, bo jak ja ci ją zamknę, to jej nigdy nie otworzysz!!

Cygan nic na to nie odpowiedział, tylko pogardliwie wzruszył ramionami.

— Wiesz łajdaku, jaka cię jeszcze nagroda czeka? — wrzeszczał dalej podstarości. — Słuchaj więc... dostaniesz dwadzieścia batogów!! Przyjmujesz je?... pewno nie będziesz się wymawiał!

I na to cygan nic nie odpowiedział, tylko ciekawie spojrzał na podstarościego, jakby chciał się przekonać, czyli też nie dostał nagle pomięszania zmysłów. Zdaje się, że podstarości zrozumiał spojrzenie cygana, bo zaraz dodał:

— To ci daje JWpan Stolnik na podróż!

Na te słowa zdrętwiał cygan, nie z obawy lub przestrachu, ale z oburzenia na bezczelność mówcy.

— Łżesz, panie podstarości! — krzyknął oburzony, — JWpan Stolnik nie będzie się pastwił nad tymi, którzy mu żadnej krzywdy nie wyrządzili. Waćpan łżesz!

— Co? ja łżę? I to śmie mi taki cygan w oczy powiedzieć? Mnie? mnie? Ha! to za wiele! Ubiję cię łajdaku na miejscu!

To mówiąc, doskoczył do ściany, drzącą od gniewu ręką schwycił za batog i rzucił się na cygana, aby go z całej siły uderzyć; ale ten jak błyskawica, czyli jak lew raniony, schwycił podstarościego oburącz i z całej siły rzucił go o ziemię, wymawiając tylko te słowa:

— Masz błaźnie!!

Szatny niemy, osłupiały, przypatrywał się tej scenie, która się w jednej prawie sekundzie odbyła. Z podziwieniem dostrzegł w oku cygana wyraz obrażonej dumy. Cygan i dumny... Moment tylko przebiegła po żyłach szatnego myśl pomszczenia zniewagi, której doznał w obecności jego szlachcic od cygana, ale tylko moment, gdyż wnet stanął duchem po jego stronie.

Podstarości rozbity tak łatwo ze ziemi powstać nie mógł. Z drugiej strony niespodziewany atentat cygana odebrał mu przytomność. Przyszedłszy cokolwiek do siebie, krzyknął, jeszcze na ziemi leżąc:

— Hola! chłopcy, nie masz was tam?

Na te słowa chmara lokai i chłopstwa, uzbrojona w pręty, wpadła do pokoju.

Otóż taki im się przedstawił widok... cygan stał na środku pokoju, a niedaleko niego dźwigał się ze ziemi czerwony, jak burak, podstarości. Przybyli odgadli natychmiast, co się stało. Zwrócili się więc do cygana, ale imponująca, dumna postać jego, powstrzymała ich od napaści. Stanęli tedy w miejscu, nie wie-

dząc, co począć, nie śmiejąc ani kroku dać naprzód.

Podstarości widząc, co się dzieje, wrzasnął już ochrypłym i od gniewu trzęsącym się głosem:

— Czegóż się gapicie?... Za czemże czekacie?... Ubić! zabić! w kawałki posiekać przeklętego cygana!!

Teraz dopiero rzuciła się cała zgraja na cygana i okryła go gradem razów.

Cygan stanął nieruchomy i zakrył twarz rękami, przyjmując uderzenia bez wszelkiego oporu; wiedział nieborak, że tłumowi nie poradzi. Położenie jego w tej chwili było bardzo groźne. Rozpasana hałastra z dzikiemi wykrzyknikami pastwiła się nad nieszczęśliwym bez miłosierdzia, a z drugiej strony, podstarości ciągle wrzeszczał, aby go jeszcze mocniej okładano.

Zdawało się tedy cyganowi, że już jego ostatnia godzina wybiła. Tymczasem ratunek nadszedł dla niego właśnie z tej strony, z której się go bynajmniej nie spodziewał.

Szatny, który z pewnym rodzajem uwielbienia przypatrywał się cyganowi, przeląkł się i osłupiał, kiedy czereda rzuciła się z kijami na nieszczęśliwego. Niedługo jednakże trwało jego osłupienie, gdyż oburzony przyskoczył, rozerwał zgraję i piorunującym głosem zakrzyknął:

— Wara łajdaki od cygana!

Chłopstwo natychmiast odskoczyło. Szatny stanął przed cyganem, dobył z zanadrza krucicy, którą miał przypadkowo przy sobie, odwiódł kurek, a wymierzywszy w zgraję, dodał tym samym groźnym tonem:

— Kto się odważy zbliżyć do tego nieszczęśliwego człowieka, temu jak psu w łeb wypalę! Fora za drzwi!!

Jak przed chwilą hurmem wpadli do pokoju, tak teraz hurmem zaczęli cisnąć się do drzwi.

Podstarości nie spodziewając się takiego obrotu rzeczy, zerwał się ze ziemi na równe nogi.

— Cóż to ma znaczyć? — zawrzasnął, — kto tu śmie rozkazywać? Waćpan panie szatny jesteś szalonym. Zostać mi tu, łajdaki!

Nic to jednak nie pomogło; wylot pistoletu szatnego był dla nich o wiele groźniejszym, aniżeli podstarościego wrzaski. W jednym momencie opuścili pokój.

Podstarości zaciął pięści.

— Waćpan szalonym jesteś! — krzyknął,— odpowiesz mi za to wszystko.

— Jam nie szalony, — odrzekł spokojnie szatny, — staję tylko w obronie niewinności. Jeśli przewiniłem odpowiem przed JWpanem Stolnikiem. A teraz żegnam waszmości... Cyganie, chodź ze mną.

To mówiąc, schwycił cygana za rękę i obaj wyszli z pokoju.

Podstarości tymczasem drżący od gniewu doskoczył do okna, rozerwał je i silnym głosem zakrzyknął:

— Spuścić psy!!

— Uciekajmy na Boga!... — szepnął przestraszony szatny do cygana, — bo jeśli nie zdążymy schronić się przed psami, źle z nami będzie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KONSERWOWANIE JAJ.

Zdawałoby się, że skorupa jaja tworzy osłonę tak gęstą i zbitą, iż czyni niemożebną jakąkolwiek styczność wnętrza, a więc białka i żółtka z powietrzem zewnętrzem. Atoli tak nie jest; i owszem ta skorupa przedziurawiona jest milionami malutkich otworków, których jednak gołem okiem zobaczyć nie jesteśmy w stanie. Przez te malutkie okienka i drzwiczki wyparowuje w każdej sekundzie pewna część płynnej zawartości, a w powstałą skutkiem tego próżnię wchodzi z zewnątrz powietrze.

To właśnie jest przyczyną psucia się, czyli gnicia jaja. Szczególnie szybko odbywa się cały ten proces w cieple. Świeże jaje jest więc całkowicie pełne, natomiast z psute straciło część swojego białka, w którego miejsce wstąpiło powietrze. Jeżeli więc przeszkodzimy ulatnianiu się białka, zapobiegamy tem samem psuciu się jaja, nie czyniąc szkody zarodkowi.

Z jaj konserwowanych, według recepty niżej podanej dały się jeszcze po dwóch latach wywieść kurczęta. Recepta ta jest następująca: Rozpuszcza się gumelastykę w spirytusie i powleka się jaja za pomocą pendzla tym roztworem, następnie stawia się (nie kładzie) je, gdy wyschną w otręby lub trociny warstwami obok siebie i nad sobą w ten sposób, aby się wzajemnie nie dotykały. W razie potrzeby należy po wyjęciu oczyścić bardzo starannie z tego pokostu, przez rozpuszczenie w spirytusie. Tak przechowane jaje zachowuje kilka lat swą świeżość i dobroć.